

# PAUza

Akademicka



Rok XVI

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności  
pauza.krakow.pl

Nr 648 Kraków, 1 czerwca 2023  
pau.krakow.pl

*Mala Aula Akademii Umiejętności jako część ekspozycji Muzeum Archeologicznego. Fotografia, 1894.*  
Biblioteka Naukowa PAU i PAN



Biblioteka  
Archiwowa  
PAU i PAN  
w Krakowie



## Czerwiec

			<b>I</b> Jakuba, Konrada	<b>2</b> Erazma, Marianny	<b>3</b> Leszka, Klotyldy	<b>4</b> Karola, Franciszka
<b>5</b> Walerii, Bonifacego	<b>6</b> Pauliny, Laury	<b>7</b> Roberta, Wiesława	<b>8</b> Maksyma, Medarda Boże Ciało	<b>9</b> Pelagii, Felicjana	<b>10</b> Bogumila, Małgorzaty	<b>11</b> Barnaby, Feliksa
<b>12</b> Jana, Onufrego	<b>13</b> Lucjana, Antoniego	<b>14</b> Walerego, Bazylego	<b>15</b> Wita, Jolanty	<b>16</b> Alimy, Justyny	<b>17</b> Laury, Adolfa	<b>18</b> Marka, Elżbiety
<b>19</b> Gerwazego, Protazego	<b>20</b> Bogny, Florentyny	<b>21</b> Alicji, Alojzego	<b>22</b> Pauliny, Flawiusza	<b>23</b> Wandy, Zenona	<b>24</b> Jana, Danuty	<b>25</b> Euzji, Wilhelma
<b>26</b> Jana, Pawła	<b>27</b> Marii, Władysława	<b>28</b> Leona, Ireneusza	<b>29</b> Piotra, Pawła	<b>30</b> Emilii, Lucyny		

Walne  
Zgromadzenie  
PAU

# W poszukiwaniu mężów stanu

Powszechna jest tęsknota za dobrymi przywódcami, prawdziwymi mężami stanu, dla których dobro wspólne jest wartością najwyższą i tylko jemu służą. Równie powszechne jest rozczarowanie przywódcami politycznymi w społeczeństwach demokratycznych. Demokracja, z natury, dzięki zasadzie konkurencji sprzyja erozji autorytetów politycznych i wytwarza programowe i personalne alternatywy dla konkretnych rządów. Jednakże celem każdego lidera politycznego jest maksymalizowanie swej władzy i jak najdłuższe jej utrzymywanie. Musi więc wykorzystywać mechanizmy konkurencji wyborczej, aby wybory wygrać. Konkurencja wymaga stałego uwodzenia wyborców za pomocą obietnic mniej lub bardziej realistycznych, odwoływania się do ogólnie podzielanych wartości, ale też stereotypów i resentymentów, a nieraz świadomych i cynicznych oszustw. Nie miał co do tego złudzeń Anthony Downs, twórca ekonomicznej teorii demokracji, gdy rzucił słynną myśl: partie formułują programy, by wygrać wybory, a nie by je realizować. I twierdził dalej, że tak po prostu musi być. Zanim jednoznacznie potępimy te praktyki, a Downsowi wytkniemy polityczny cynizm, zwróćmy uwagę, że partie i ich liderzy starają się niejako odwzorować najbardziej rozpowszechnione w elektoracie preferencje, społeczne emocje, aby przekuć je w głosy, bo one są wstępnym warunkiem realizowania jakiegokolwiek programu. W dobrze skonsolidowanych demokracjach, zwłaszcza wspierających się na ordynacjach proporcjonalnych, istnieją liczne mechanizmy ochronne przed oczywistymi kłamstwami polityków, festiwalami nierealistycznych obietnic, a nawet pewne szanse na cząstkowe sukcesy mają politycy głoszący hasła jawnie niepopularne wśród zdecydowanej większości społeczeństwa. Politycy w takich demokracjach podzielają przekonanie, że żadna pojedyncza elekcja nie jest walką na śmierć i życie, że będzie można się odegrać w następnych wyborach. Ta nadzieja jest jedną z ważniejszych gwarancji istnienia ładu demokratycznego i sprzyja elementarnej moralności w polityce.

Ale nawet w takich warunkach pokusy populizmu są wielkie i można znaleźć dobre powody, by czasem chwalić polityków, którzy świadomie lukrują rzeczywistość, czy wręcz okłamują obywateli. Weźmy wcale nie hipotetyczną sytuację. Rozpoczyna się pandemia bardzo zakaźnej choroby. Trzeba wprowadzić rozległy lockdown. Grozi, że setki tysięcy przedsiębiorstw padną, miliony ludzi pójdą na bezrobocie, jeżeli nie uruchomi się w masowej skali pomocy publicznej dla tych przedsiębiorstw, jeżeli zaprzestanie się wypłacania pensji ludziom, którzy w danym momencie pracy nie świadczą. Polityczni liderzy wiedzą, że ogromne kwoty wpompowane w ten sposób w gospodarkę powiększą dług publiczny, wkrótce wywołają inflację, zagrożą stabilności krajowej waluty. Jeśli uczciwie, z detalami o tym wszystkim obywatelom opowiedzą, w następnych dniach mają gwałtowne załamanie się kursu krajowej waluty, puste bankomaty, gwałtownie pustoszące półki w sklepach i hurtowniach i nakręcającą się z dnia na dzień inflację. Socjologowie nazywają to samospełniającą się przepowiednią, a ekonomiści dobrze wiedzą, że jedną z najważniejszych przyczyn inflacji są po prostu oczekiwania inflacyjne. Czyż w takiej sytuacji można mieć za złe przywódcy politycznemu, że uruchamia ogromne dotacje i zapewnia, iż gotówki mamy całe wagony, bankomaty będą pełne i żadnych limitów wypłat nie będzie, że dług publiczny jest niewielki, inflacji nie będzie, a jeśli nawet to przejściowa itp. Myślę, że większość z nas usprawiedliwi polityka, który w takiej i podobnej sytuacji będzie po prostu łgał.

Politycy jednak zazwyczaj nie potrzebują jakichś prawdziwie trudnych sytuacji, by nie mówić swoim społeczeństwom rzeczy niepopularnych, by wybierać rozwiązania, kierując się wyborczą popularnością, a nie dobrem wspólnym. Emmanuel Macron, forsujący

wbrew zdecydowanej większości Francuzów reformę systemu emerytalnego, zakładającą nieznaczne podniesienie wieku emerytalnego, jest tu wyjątkiem. Cała ekonomia głównego nurtu i praktyka wszystkich rozwiniętych państw europejskich potwierdza słuszność tego kroku. A jednak i tutaj można zgłosić wątpliwości. Nie wiemy na pewno, czy rezygnacja z tej zmiany przyniosłaby załamanie systemu emerytalnego, a nawet tego, że koniecznie musiałoby dojść do zasadniczego obniżenia przeciętnej przyszłej emerytury. Albowiem w polityce istnieje zasadnicza trudność z wyznaczeniem tego, co jest dobrem wspólnym, i jakie są racjonalne rozwiązania służące jego realizacji. Powodem głównym jest sam charakter zjawisk społecznych i wiedzy o nich. Nie ma praw nauk społecznych w takim sensie, w jakim są prawa nauk przyrodniczych. Bo „Ludzie sami tworzą swoją historię...” – powiedział niesłusznie zapomniany klasyk. W języku współczesnej socjologii mówimy o konstruowaniu świata społecznego. Zawsze mamy więc zasadniczy deficyt wiedzy, nie ma pewności, że przewidywane negatywne zjawisko wystąpi, że konkretny środek będzie skuteczny. Jest też problem horyzontu czasowego, w jakim oceniamy rezultaty określonych decyzji czy polityk. To, co mogło przynieść na krótką metę prawie same korzyści, w dłuższej perspektywie może okazać się rozwiązaniem fatalnym – kosztownym i przeciwskutecznym z punktu widzenia zakładanych celów. Ponadto tak naprawdę nie wiemy (albo wiemy tylko w przybliżeniu), jaka jest rzeczywista hierarchia preferencji obywateli i przede wszystkim, czy są to preferencje stabilne. Skoro tak, to mamy zasadniczą trudność w rozstrzygnięciu na bieżąco, który lider polityczny jest prawdziwym mężem stanu, a który hochsztaplerem, demagogiem, wiodącym kraj do kryzysu i nieszczęścia.

Współczesne demokracje nie są jednak całkowicie bezradne wobec populistycznych liderów. Są pewne środki zaradcze. Aktualnie wydają się rekomendacje Josepha Schumpetera – twórcy proceduralnej teorii demokracji, teorii wyrastającej z niewiary, że lud/demos może bezpośrednio wpływać na treść rządów. W jego opinii wyborcy nie są racjonalni i „okazują się złymi i przekupnymi sędziami” nawet w sprawach własnych interesów. Rządzą zawsze elity, ale elity różnią się jakością. Jego recepta to konkurencja demokratycznych elit. Konkretna elita, która uzyska mandat z demokratycznych powszechnych wyborów, winna mieć znaczną autonomię i swobodę rządzenia. Jeśli rządzący nie muszą codziennie zabiegać o poklask wyborców, to mogą podejmować trudne sprawy i nie muszą permanentnie kłamać. Ogranicza ich też istnienie konkurencyjnej elity, kompetentnej, bo systematycznie przygotowującej się do rządzenia. Warunkiem funkcjonowania takiego systemu jest żelazne przestrzeganie zasady kadencji władz politycznych i wszystkich standardów wolnych wyborów. W modelu tym są też pewne oczekiwania co do procesu rekrutacji do elity politycznej. W społeczeństwie muszą być warunki, aby ludzie zdolni i energiczni nie gardzili karierą polityczną. Rządzące elity muszą się wylaniać w toku długotrwałego procesu selekcji, w którym liczą się wykształcenie, doświadczenie, ale też pewien etos służby publicznej. Najpoważniejszym wykroczeniem przeciwko temu etosowi jest prywatna, pogoń za korzyścią własną, często prowadząca do korupcji. Tego rodzaju wykroczenia – paradoksalnie – tworzą wyborcom pewną heurystykę poznawczą, pozwalającą względnie łatwo osądzić i eliminować polityków oskarżanych o prywatę. Społeczeństw, w których tego rodzaju zarzuty są śmiertelne dla polityków, jest w Europie sporo (zwłaszcza kraje skandynawskie), ale niestety nietrudno też o równie liczne przykłady społeczeństw mało wrażliwych na zjawiska prywaty i korupcji.

I tak dochodzimy do sedna: względnie przyzwoite rządy możliwe są tylko w przyzwoitym społeczeństwie.

JACEK RACIBORSKI

Wydział Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego

# Groźna przyszłość

Ciągłość jest bezpieczna, a zmiana jest groźna. Z tego bie-  
rze się psychologicznie rozumiała, lecz naiwna chęć, aby sytu-  
acja dobrze nam znana i zapewniająca poczucie podstawowego  
bezpieczeństwa trwała jak najdłużej, nawet jeżeli nie wszystko  
nam się w niej podoba. Jeżeli nie stanęliśmy wobec zagrożeń,  
to wydaje nam się, że nasze czasy są „właściwe” i powinny trwać.

Stąd bierze się to charakterystyczne dla starszej generacji  
marudzenie, że „za moich czasów, to...”, i narzekanie na „dzi-  
siejszą młodzież”, która na różne sposoby podważa kulturowy  
dorobek swoich poprzedników. Ten wątek pojawia się regularnie  
niemal od czasów wynalezienia pisma, które sprawiło, że utrwa-  
laniu dla przyszłości podlegały już nie tylko badane przez ar-  
cheologów produkty rozwoju technologicznego, ale też skądinąd  
ulotne myśli, opinie i obserwacje, stanowiące pożywkę dla badań  
historyków. Wśród nich widoczne jest pożądanie stabilności –  
trwania świata, w którym potrafimy się poruszać.

Do dzisiaj niewiele się zmieniło, ale w czasach nowożytnych  
niechęć do zmian stała się impulsem dla ruchów politycznych lan-  
sujących konserwatywną wizję przyszłości. Ich hasła przewodnie  
to umacnianie tradycyjnych wartości i obrona rzekomo zagro-  
żonego porządku społecznego. Na obawach przed skutkami od-  
chodzenia od obowiązujących obecnie zasad skutecznie żerują  
populisci polityczni, którzy lansują potrzebę „zamrożenia” aktualnej  
situacji, czy też wręcz powrotu do dobrze wspomianej przeszłości  
jako lekarstwa na aktualne poczucie zagrożenia zmianami.

Chętnie odwołują się też do typowego strachu przed „ob-  
cymi”. Jest to jeden z mechanizmów obronnych obecnych we  
wszystkich społecznościach, ale szczególnie widoczny jest  
w tych, które obawiają się o spójność swojej tradycji zapewnia-  
jącej tożsamość grupową. Wzmacnia się wtedy rozmaite bariery  
(rasowe, religijne lub jakiegokolwiek inne), które pozwalają kontro-  
lować napływ ludzi „z zewnątrz” lub przynajmniej zapobiegać ich  
integracji ze społecznością „autochtoniczną”. Takie ograniczenia  
mogą być skodyfikowane w rozmaite zakazy, co w skrajnych  
przypadkach pozwala odwoływać się do zalegalizowanej prze-  
mocy.

Na szczęście takie kroki są na ogół mało skuteczne, bo nie  
udaje się szczelnie zatrzęsnać drzwi i żadna deklaracja samo-  
izolacji lub reguła wykluczenia nie zapobiega procesom osmo-  
tycznym. W dłuższej perspektywie pełna izolacja doprowadziłaby  
wcześniej czy później do skostnienia lub nawet do degeneracji  
kulturowej. Różnorodność, wielowątkowość i ścieranie się różnych  
nurtów są bowiem niezbędne dla rozwoju, a próba zbudowania  
homogennej „twierdzy” może być wręcz groźna. Toteż historia  
nie dostarcza przykładów sukcesu takiej strategii, lecz raczej po-  
twierdza obawy przed jej skutkami.

Oprócz uruchamiania skomplikowanych procesów kultu-  
rowych migracje mają też zawsze nieuniknione skutki czysto  
biologiczne. Jedne i drugie inicjują silne reakcje obronne wśród  
zwolenników „naszej tradycji” i „czystości krwi”, którym wydaje się,

że tożsamość narodowa jest dziedziczona biologicznie dzięki ist-  
nieniu jakiegoś genu (np. gen polskości), determinującego prze-  
strzeganie specyficznych norm społeczno-kulturowych. Próby  
zapobieżenia zmianom w nadziei na utrwalenie współczesności  
są skazane na niepowodzenie.

W odróżnieniu od czasów archeologicznych/historycznych  
dzisiejsza sytuacja jest jednak oczywiście inna, bo migracje przy-  
bierają i będą przybierać skalę masową i mogą następować  
„nagle”, co stwarza niespotykane problemy logistyczne. Skutkuje  
to wzrostem słusznych obaw w społeczeństwach „przyjmują-  
cych”, zagrożonych w swojej tożsamości.

\*

Ciekawym zjawiskiem z kategorii strachu przed zmianą są  
rosnące od jakiegoś czasu obawy przed stopniowym ociepla-  
niem się klimatu. O ile bowiem nadzieja na powstrzymanie zmian  
zachodzących w sferze społeczno-kulturowej może mieć jakieś uza-  
sadnienie w przekonaniu o skuteczności „zadekretowanych” narzędzi  
obronnych, to walka ze zmianami klimatycznymi zdaje się skazana  
na porażkę, uzasadnioną wynikami badań nad ostatnimi okresami  
dziedziej ziemi i ich związkami z ewolucją biologiczno-kulturową,  
która doprowadziła do ukształtowania się gatunku *homo sapiens*.

Patrząc z takiego punktu widzenia na ostatnie kilka milionów  
lat, można zaryzykować stwierdzenie, że jesteśmy wręcz produk-  
tem powtarzających się kryzysów klimatycznych. Następujące co  
jakis czas okresy radykalnego ochłodzenia i ocieplenia nie spo-  
wodowały bowiem zatrzymania czy choćby spowolnienia rozwoju  
kulturowego. Chyba było wręcz przeciwnie, bo z każdego takiego  
kryzysu ludzkość wychodziła obronną ręką, a nawet wzmocniona  
o nowe sposoby radzenia sobie z zagrożeniami, jakie powodowały  
zmiany następujące w środowisku przyrodniczym.

Tę uzasadnioną archeologicznie wiarę w skuteczność uru-  
chamianych mechanizmów adaptacji do zmian środowiskowych  
podważają dzisiaj wyniki badań nad współczesnym klimatem,  
na który, jak sugerują specjaliści, po raz pierwszy mamy istotny,  
choć trudny do zmierzenia wpływ. Jeżeli ocieplenie nie jest tylko  
częścią cyklu klimatycznego (na co wskazuje jego duża szyb-  
kość), to mamy oczywiste powody do niepokoju.

\*

Czy jednak uzasadnione psychologicznie obawy przed za-  
grożeniem zmianą świata, jaki znamy, nie są nadmierne? Nasi  
potomkowie będą po prostu żyli w innym świecie i na pewno się  
do niego przystosują, tak jak to się zawsze działo w przeszłości.  
Widoczne już zmiany mogą nas niepokoić, ale chyba nie powinny  
przerażać. Nie ma innego wyjścia niż zachowanie predykcyjnego  
optyzmu i wiary w skuteczność reagowania przyszłych pokoleń  
na nieuchronną nietrwałość świata, który będzie oczywiście inny  
(a nawet zupełnie inny) niż ten, który dzisiaj uznajemy za „wła-  
ściwy”. Nie chodzi o zaniechanie działań zapobiegawczych, lecz  
o unikanie paniki.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Instytut Archeologii i Etnologii PAN  
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego

# Hospitacje – sprostowanie

W PAUzie 633 Profesor Andrzej Bronk napisał: „Obecnie (...) profesor, jak każdy inny nauczyciel akademicki, zostaje poddany obowiązkowej okresowej ocenie, a jego zajęcia hospitacji, niekiedy przez osoby niższe stanowiskiem”. Zdanie to sugeruje, że zajęcia wszystkich profesorów pracujących w Polsce podlegają hospita-  
cjom. Ustawa z dnia 20 lipca 2018 r. *Prawo o szkolnictwie wyższym*

*i nauce* mówi o obowiązku poddania się ocenie okresowej, natomiast kryteria tej oceny ustala rektor. W szczególności Ustawa nie mówi explicite o hospitacjach. Wewnętrzne regulaminy poszczególnych uczelni i wydziałów różnie podchodzą do hospitacji zajęć prowadzonych przez profesorów i wiele z nich stwierdza wprost, że zajęcia prowadzone przez profesorów nie podlegają hospitacjom.

MAREK KOSMULSKI

Politechnika Lubelska

# „Solidarność” powtórka z historii?

Nowa epoka w naszych dziejach zaczęła się w Sierpniu 1980 r. w Gdańsku, a „Solidarność” była największą, nie tylko w naszej historii, organizacją. Około 10 mln ludzi spontanicznie zgłosiło do niej akces, potwierdzając to swoim podpisem. Stosunkowo łatwo jest wywieść, czym „Solidarność” nie była. Nie była partią polityczną; nie miała swojego programu w dziedzinie polityki zagranicznej czy obronności, a na to żadna partia nie może sobie pozwolić; od początku odżegnywała się od posądzeń, że chce przejąć władzę, a dla partii to podstawowy cel. Co więcej, „Solidarność” nawet zaakceptowała taką władzę, jaka wtedy była, podpisując z nią różne porozumienia. Nie była też tylko związkiem zawodowym, choć deklarowała, że nim jest – przyjęła przecież strukturę terenową, a nie branżową, czemu dziwili się wszyscy związkowcy na świecie. Zgłosili się do niej przedstawiciele tradycyjnych wolnych zawodów, artyści, nawet księża... Dziś mówi się o niej jako o ruchu społecznym, a nie zawodowym, a przecież ruchy społeczne nie przyjmują form organizacyjnych z deklaracjami, składkami, wyborami władz itd. Czasami słyszy się, że była rewolucją, ale samoograniczającą się rewolucją, a więc taką chyba nie do końca. Wszystkim, którzy tak twierdzą, i tak nawet tytułują ochoczo swoje książki, chciałoby się zadać jedno pytanie: a któraż to rewolucja gdziekolwiek i kiedykolwiek w dziejach rejestrowała się... w sądzie...

Widać, że „Solidarność” nie poddaje się znanym powszechnie klasyfikacjom i definicjom, jest czymś wyjątkowym i niepowtarzalnym. Była związkiem zawodowym też, ale granice tej instytucji dalece przekraczała. Z pewnością była jednak związkiem, a nie amorficznym ruchem gniewnych desperatów...

Zdefiniowanie istoty „Solidarności” jest trudne, a pojęcia ukute dotąd przez nauki społeczne okazują się niewystarczające do opisu tego fenomenu. Kiedy pytano mnie przed kilkoma laty, kiedy w Warszawie będzie „majdan”, bez wahania odpowiadałem, że nigdy. Współcześni Ukraińcy dziedziczą bowiem charakterystyczną dla siebie kozacką tradycję koszarową i to, co się działo w Kijowie w 2013 r., wpisywało się w nią bez reszty. Tego rodzaju forma przeciwstawiania się władzy nigdy nie pojawiła się u nas, ponieważ nasza historia wypracowała zgoła inne reguły rozwiązywania konfliktów z rządzącymi.

Chociaż szkoła nie uczy nas, niestety, o instytucjach naszego państwa w przeszłości, to na szczęście literatura piękna wdrukowała, na poziomie podświadomości, pewne archetypiczne imperatywy postępowania w sytuacjach wymagających zbiorowego działania. Wszak to z Sienkiewiczowskiego opisu wiemy coś o konfederacji tyszowieckiej, dzięki której wróg został wypchnięty z Rzeczypospolitej. Wiemy też, że pan Zagłoba był regimentarzem...

Konfederacja była bardzo skuteczną instytucją. Konstytucja 3 maja mogła być przyjęta tylko dlatego, że Sejm Wielki był skonfederowany. Bardzo źle kojarzy nam się konfederacja targowicka i słusznie, ale bardzo dobrze konfederacja warszawska z 1573 r., choć zwykliśmy podkreślać niemal wyłącznie jej deklarację tolerancji religijnej. Nasi antenaci doskonale rozróżniali konfederacje i rokosze, odróżniali konfederacje „przy królu” i w okresie bezkrólewia, niektóre miały za zadanie wesprzeć króla, inne wymusić na królu pewne zachowania. Dziś niewiele o tym wiemy, a jestem przekonany, że właśnie instytucja konfederacji jest kluczem do zrozumienia fenomenu „Solidarności”.

Konfederacja to tyle co związek, tworzone go niejako od dołu (konfederacje tworzone „od góry” są zaprzeczeniem jej istoty), najpierw w powiatach, bo to był podstawowy poziom działania szlachty,

następnie w prowincjach, od unii lubelskiej oddzielnie w Koronie i na Litwie, na koniec powstawała konfederacja generalna z marszałkiem oraz regimentarzem jako dowódcą wojsk konfederackich – pamiętajmy, że konfederacje były związkami zbrojnymi. Konfederacja warszawska doprowadziła przede wszystkim do wyjścia z bezkrólewia, wskazując jednocześnie kierunek zawieranych sojuszy, zakończyła się przyjęciem Artykułów henrykowskich, nazywanych coraz częściej pierwszą polską pisaną konstytucją, określającą zasady ustrojowe państwa na najbliższe, ba, 218 lat.

Konfederacji w naszych dziejach było wiele, około 35. Większość stanowiły konfederacje szlacheckie, ale zdarzały się także mieszczańskie i wojskowe. Z czasem wykształciła się procedura ich zawiązywania, działania i rozwiązywania. Jeśli król podjął dialog z konfederatami, jego wyniki spisywano w umowie konfederackiej, którą roborowano (umacniano) w sądzie, po czym konfederaci wchodzili do Sejmu i wraz z wybranymi już postaciami, w proporcji fifty-fifty, głosując większością, implementowali, używając dzisiejszego języka, poszczególne punkty umowy. Po zakończeniu tego procesu konfederacja się rozwiązywała, a następny Sejm wybierany był już na normalnych zasadach.

W kontekście powyższych zasad widać, że „Solidarność” realizuje w pełni procedurę konfederacyjną. Najpierw powstawanie lokalnych ośrodków buntu (komitety strajkowe) oraz zawieranie umowy z władzą (Porozumienia Sierpniowe), 17 września mamy już pełną generalność z Wałęsą jako regimentarzem oraz rejestrację w sądzie statutu „S”. Od tego momentu aż do lutego 1989 r. trwa okres zmagania się z władzą o uznanie statusu, od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r. – wypracowania umowy Okrągłego Stołu, zakończonej podpisaniem z władzą („królem”, jaki był) nowej umowy społecznej (konfederackiej). 4 czerwca odbyły się wybory do Sejmu i Senatu, czyli sejmu kontraktowego (sejmu skonfederowanego). Na 560 posłów i senatorów mieliśmy 260 reprezentantów „S”, ale jeśli doda się ponad 20 posłów z list obozu władzy, tych popieranych przez „Solidarność”, to wypisz wymaluj mamy relację fifty-fifty – ujawniło się to w pełni w lipcu 1989 r. w wyborach prezydenckich. Sejm skonfederowany funkcjonuje do jesieni 1991 r., a następny wybierany jest już na normalnych zasadach. I to jest koniec Pierwszej „Solidarności”, a różnica pomiędzy pierwszą a drugą jest też bardzo czytelna.

Tworzenie konfederacji w celu rozwiązywania problemów i konfliktów jest jednym z najbardziej charakterystycznych elementów naszej tożsamości konstytucyjnej. Pozostaje pytanie, gdzie i kiedy można dopatrywać się jej początków. Moim, i nie tylko moim, zdaniem, 23 listopada 1382 r., kiedy to „panowie polscy” zaprzysięgli w Radomsku, w okresie bezkrólewia po śmierci Ludwika Węgierskiego, pierwszą konfederację. Przez kolejne 2 lata szlachta, ale także przedstawiciele miast, rozbudowują swoją organizację na zjazdach w kilkudziesięciu miastach Wielkopolski i Małopolski, by 2 marca 1384 r., ponownie w Radomsku (chodziło o równą odległość od Poznania i Krakowa), uchwalić wspólnie i jednomyślnie żądanie skierowane do Elżbiety Rakuszanki, ażeby do 8 maja tego roku zjechała do Polski jej córka Jadwiga, a nie Maria, bo jak nie, to króla obiorą sobie sami... I stało się tak, jak chciało ówczesne, zrodzone w Radomsku, społeczeństwo obywatelskie.

A czy „S” była związkiem zbrojnym? Oczywiście, zastosowała nowoczesną, bardziej skuteczną współcześnie broń niż pałasz i rusznica: strajk...

JERZY STĘPIEŃ

Sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku  
Uczelnia Łazarskiego

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

**Rada Redakcyjna:** Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.  
**Redakcja:** Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

**Adres do korespondencji:** Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.